



DOKTOR JUDYM TROCHĘ Z UKOSA

ACH, cóż to za wspaniałe zajęcie! Sam je uprawiam i każdemu zalecam. Wziąć z półki coś z klasyki. Coś, co cię czytało lat temu kilkanaście. Albo i kilkadziesiąt. I spróbować raz jeszcze. Tu już nie tylko idzie o jakiś powrót do samego siebie sprzed tych kilkunastu czy kilkudziesięciu lat, o fascynującą konfrontację między tym „mną”, który był kiedyś i tym „mną”, który egzystuje obecnie.

Także o miarę zmieniającego się czasu. „Ludzie bezdomni” — mój Boże, jak dawno to się czytało. I co pozostało z tamtej lektury? Jakies mgliste reminiscencje. Wiadomo: rozdarta sosna i Joasia. Dylemat szczęścia osobistego i oddania się sprawie społecznej. Kompleks „człowieka z dolów”, który przez przypadek znalazł się w tak zwanym dobrym towarzystwie, ale przecież w jakiejś — i to bardzo poważnej — mierze pozostał synem wiecznie pijanego szewca z warszawskiej ulicy.

A teraz jest czerwiec 1971 roku. Lidia Zamkow prezentuje sceniczną przeróbkę dzieła, które poznawało się na gimnazjalnych kompletach w czasie okupacji. To jakby spotkanie z wielką miłością z czasów szlubiackich już wtedy, kiedy i szron na głowie i nie to zdrowie. Spotkanie pulsujące ciekawością, ale i niepokojem zarazem: co nam zostało z tych lat...

Muszę wyznać, że ta konfrontacja była — dla mnie przynajmniej — zaskakująca. Czy taki był zamiysł krakowskiej reżyserki, której telewizyjny „Makbe” był impulsem w lecie 1967 roku ku temu, abym zaczął pisać „Szkłaną Melpomenę”, nie wiem. Może zresztą źle przedstawienie odczytałem. Ale wydaje mi się, że Zamkow odsunęła na bok niejako te wszystkie skojarzenia i inercje intelektualno-emojonalne, którymi w świadomości każdego z nas obrosła jest „Ludzie bezdomni”. I sam Żeromski. Że pokazała nam coś nowego, co oczywiście znajduje się w tekście, ale co dotąd — przynajmniej jeśli o mnie chodzi — było przesłonięte tą „rozdartą sosną” i w ogóle potocznymi skojarzeniami.

Cóż to za nowe wejście?

ANEKDOTA Z DAWNYCH CZASÓW

To, zdaje się, zdarzyło się starymu cynikowi („na moją duszę, jeśli ją posiadam...”), hrabiemu Maurepas.

Ten wieloletni premier Ludwika XVI, którego naczelnym, a bodajże jedynym, punktem programu politycznego było pozostać na swym stanowisku aż do śmierci, powiedział kiedyś młodemu człowiekowi zgłaszającemu się do niego z propozycjami rozległych reform mających uzdrowić gospodarkę państwa francuskiego:

— A swoją drogą, ciekawa jest ta skłonność, z jaką ludzie, którzy roztrwonili swój własny majątek, zabierają się do naprawy majątku królewskiego.

Doktor Judym trochę z ukosa... No tak, kondycja społeczna niepełna. Praktyka lekarska pod zdechłym psem. Obsesja niedobrego, jak na owe czasy, pochodzenia społecznego. I w ogóle własne interesy idą marnie. Kapitałne są skłonności przedstawienia, w których to właśnie momenty są bardzo mocno zaakcentowane.

Pasja reformatorka? Skłonność do sprzeciwu wobec istniejącego świata na rzecz czegoś, co może być lepsze? Pozostawmy filozofom i historykom rozważania, skąd się

to bierze w człowieku. Ale to chyba jest pewne, że — jakkolwiek złożone i skomplikowane są warunkowania postaw tego rodzaju — gdzieś na dnie, gdzieś w zakamarkach motywacji mieścić się musi jakieś osobiste „niedopasowanie”, brak możliwości zaspokojenia tych czy innych aspiracji w ramach istniejącego stanu rzeczy. Aspiracji czysto osobistych, żeby nie powiedzieć — przyziemnych.

ŻEBY TO SIĘ PRZYNAJMIENI KŁÓCILI...

A potem ta druga wspaniała sekwencja przedstawienia. Doktor Judym na posiedzeniu lekarskim. Ze swoją wielką tyradą przeciwko społecznemu złu. Ze swoją wielką fantazją programową na temat powołania lekarzy i medycyny.

Tradycyjnemu odbieraliśmy to tak: oto człowiek z wyobraźnią, sumieniem i sercem wrażliwym. A przeciw niemu faccy „bez serc, bez ducha” i w ogóle szkieletów ludy. A tymczasem...

A tymczasem ci pocielwcy („takie widzi światła koło, jakie tepymi zakreśla je oczy”) mają dużo racji, kiedy wołają: kolego, kolego, to wszystko prawda, ale cóż my na to możemy poradzić. Nasza rzecz — choroby leczyć, nie społeczeństwo...

I znów Doktor Judym trochę widziany z ukosa... Patetyczna, ale o parę tylko milimetrów od donkišoterii, naiwność początków zamiślu reformatorskiego. Marzycielstwo i realizm w dziele przemieniania świata na lepszy. Tak to się wszystko zaczyna. W wewnętrznej szamotaninie, w bezsilnym starciu z reallami spala się marzyciele; zapłaca za swoje pomysły kłeska osobista, może nawet śmieśność: ich udziałem stanie się rozdarta sosna, i szwyderstwa zadawolonych z siebie i świata. Ale przecież coś pozostanie, coś nie przemienie. Jak z tym Palzkąm, z jego genialnymi pomysłami operacji przemysłowo-handlowych, z których dla autora każdy skończył się potężną diałtą, aby potem — w rękach doświadczonych realistów, co to umieją rachować, mierzyć, spekulować i w ogóle brać życie takim, jakie jest — stać się prawdziwa złota żyła.

Ta diałektka procesu reformatorskiego: od marzenia i wzłzł, która autorowi przynosi przeważnie kłeske osobista — ku realizacjom trzeźwych i co nieco sceptycznych ludzi czynu...

I tak zupełnie, ale to zupełnie na marginesie: oglądam na szklanym ekranie wspaniałą kreację Wielkiego i Żalostnego Reformatora, Doktora Judyma w wykonaniu Leszka Herdegana, podziwiam Herdegana i myślę sobie o naszych czasach:

— żeby to się przynajmniej kłóciło...

NAJWIĘKSZY NIEPRZYJACIEL WIELKIEJ REFORMY

Ten Judym — myślę sobie — miał przynajmniej szczęście. Miał szczęście, gdyż miał zdeklarowanych przeciwników. On chciał po nowemu. Oni — po staremu. Judym spalił się w tym starciu, ale linie frontów były ostro zaznaczone. Judym przegrywa, nie to, przyjdą tacy, którzy podniosą — z większym powodzeniem — sprawę, której bronili.

Bogatsi w doświadczenie, realistyczniejsi, zrobią w końcu swoje.

...Myślę o naszych czasach. Odnowa? Reforma? Postęp? Nowoczesność? Demokracja? Ależ oczywiście, wszyscy są za. Nikt przeciw. Żadnych starć. Same deklaracje, że jakże, że po nowemu, że nareszcie i tak dalej. Rutyna i konserwatyzm

są najniebezpieczniejsze, gdy się zdeklarują jawnie. Tak właśnie, jak w przypadku Judyma. Prędzej czy później muszą przegrać, bo taka jest logika dziejów.

Najniebezpieczniejsze są wtedy, gdy się zakonspirują. Gdy prawdziwej nowoczesności, reformie, odnowie i tak dalej przeciwstawia nie rutynę, sklerozę, konserwatyzm i tak dalej — ale pozorowaną nowoczesność, pozorowaną reformę, pozorowaną odnowę, w których pod cienką warstwą świeżutkiego lakieru panoszą się będzie ta sama, stara, zżerająca wszystko rdza.

Dobre — na swój sposób — były tamte czasy Doktora Judyma, kiedy zwolennicy starego mieli odwagę głoszenia wprost, z otwartą przybitką, swoich rozumowań, sentymentów i postaw.

JUDYM: JAKI WSPÓŁCZESNY!

A więc to tak: stonowane zostały te wątki, które — jak etykielki — przykleiły się do powieści Żeromskiego. Skurezyła się rozdarta sosna, redukcji uległ kompleks „niedobrego pochodzenia społecznego”, tradycyjny dylemat: szczęście osobiste czy praca dla społeczeństwa.

Wygromnił natomiast mechanizm tego, co byśmy mogli określić jako Marzenie o Wielkiej Przemianie. Konformizmowi i nonkonformizmowi, rutynie i reformy, jakby wyjętych z konkretnego czasowego przełomu XIX i XX wieku i pokazanych w jakiejś mierze w formacie ponadczasowym. Konfrontacja wizji ze stawiąjąca jej zacięki opór, ale ulegająca w końcu materii społecznej. Ludzka cena postępu... Różnie się w różnych czasach płaci za postęp: raz śmiercią na stosie, innym razem „rozdartą sosną”, jeszcze innym razem jeszcze inaczej: piszę te słowa, kiedy świat pozostaje pod głębokim wrażeniem śmierci radzieckich kosmonautów — i tak się też płaci, i inaczej jeszcze.

Różnie się płaci; forma zależna jest od miejsca i czasu, warunków społecznych i napięć psychicznych, ale cena jest zawsze wysoka.

I choć w atmosferze duchowej roku 1971 jest tyle pierwiastków sprzyjających nowatorstwu, choć na każdym kroku głosi się pochwałę nonkonformizmu i zaangażowania, myślę, że — jakkolwiek pomyślnie rozwijać się będzie sytuacja — zawsze trzeba będzie zapłacić wysoką cenę za to, że się czuje żarliwiej niż inni, i myśli się prędzej, i pragnie się bardziej, aby świat, w którym żyjemy stawał się nieustannie lepszym światem.

Adaptacja Lidii Zamkow jest — moim zdaniem — najzupełniej wier-na tekstowej powieści. A że dzięki niej dostrzeżliśmy mocniej niż kiedyś pewne wątki, nadmiernie może przesłonięte przez melodramatyczną warstwę zdarzeń i przez realia społeczne tej akurat epoki, w której i o której pisał Żeromski, to po prostu wynik tego, że w „Ludziach bezdomnych” autor napisał więcej niż my wszyscy w potocznym odbiorze przeczytaliśmy.

JERZY MILEWSKI

KRAKOWSKI TEATR TELEWIZJI: Stefan Żeromski — „Ludzie bezdomni”. Adaptacja i reżyseria Lidii Zamkow. Scenogr. Jerzy Moskal. Wykonawcy: Leszek Herdegen, Janusz Ostrowski, Sabina Chrominska, Zofia Truszkowska, Ewa Decówna, Leszek Kubanek, Jerzy Nowak, Andrzej Mrowiec, Emir Buczański, Włodzimierz Saar, Jerzy Korcz, Anna Dziadk, Maria Wilhelm, Maria Stokowska, Wojciech Ziętarski, Piotr Różański, Zbigniew Bednarczyk, Andrzej Mrózowski, Stanisław Budny, Zofia Michalska, Elżbieta Gorczycka, Danuta Morawska, Lidia Zamkow, Bogumiła Korzusznik, Ewa Zylanka i inni.

Premiera dnia 28 czerwca 1971 r.